

I SZCZECIŃSKA »KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA«

Szczecińska Królowa przedmieścia na pewno długo utrzyma się w repertuarze. Powodzenie wodewilów jest w naszych teatrach sprawą przesądzoną. Trafiają na scenę wystarczająco rzadko, by ściągnąć tłumy stęsknionej za tym rodzajem sztuki publiczności, której potrzeb nie zaspokaja operetka. I patrząc na przepelnioną widownię żałować jedynie wypada, że nie doczekaliśmy się owego „Teatru Ludowego im. Woiciecha Bogusławskiego”, o jakim myślał Schiller, a który m.in. wystawiać miał „widowiska dostępne dla wszystkich (...) w formie ulubionych u nas sztuk ludowych ze śpiewkami i tańcami”. Oglądając bowiem to, co się odgrywa na scenie tak zazwyczaj ambitnego Teatru Polskiego w Szczecinie, i obserwując entuzjastyczną rea-

kcję sali, zdobywa się pewność, że sam gatunek dramatyczny, do jakiego *Królowa przedmieścia* należy, staje się dla sztuki tej reklamą. Wartość inscenizacji jest sprawą drugorzędną. A przecież utwór ma już swą doskonałą sceniczną legendę, choćby poprzez fakt, że zrosł się na stałe z nazwiskiem Leona Schillera.

Reżyser szczecińskiego spektaklu i adaptator tekstu — Ewa Kołogórska — nie powołuje się zresztą ani razu na inscenizację Schillera, choć wykorzystuje w przedstawieniu wiele piosenek będących jego dziełem. Wierna jest także schillerowskiemu podziałowi wodewilu na trzy części w miejsce 5 aktów oryginału. Ale to prawda, że duch Schillera nie patronuje temu przedsięwzięciu.

Kołogórska całość skameralizowała. Z licznych krakowskich „andrów” i ich dziewczyn pozostały dwie pary: Antek — Stefcia i Kantek — Anielcia, z artystów — Zygmunt i Zagórny. Zniknęły wszystkie szwaczki, ulicznicy, „gimnaziści” etc. Oczywiście widowisko straciło przez to na rozmachu, nie to jednak jest jego największym błędem. Większość zmian wprowadzonych przez reżysera służy bowiem — niestety — naczelnej i ryzykownej koncepcji, by *Królowę przedmieścia* uwspółcześnić poprzez parodie. Granicę między mieszkańcami Zwierzyńca a krakowską cyganerią zatarto. Przekupki śpiewają wspólnie z radcą i artystami kuplety przeciw burżujom i krzyczą *eviva l'arte*, narzeczone murarzy przejmują chwilami role szwaczek, król andrusów i jego kolega nuć hymn „czarnokawców”, a kobiety ze Zwierzyńca (nie tylko młode!) tańczą kankana ukazując czerwone podwiązki. Słynna pieśń o pelerynie, rozpisana na głosy i wyraźnie sparodiowana, traci sens i urok, podobnie jak w niefortunny sposób zilustrowany *Walc katarynkowy*; zaś inscenizacja pięknej pieśni o nożu, odtańczona nad ukrytym w drabnie Goldfiszem, należy do najbardziej żenujących momentów spektaklu. Niesmacznych pomysłów reżyserskich jest zresztą w przedstawieniu wiele. Nic dziwnego, że pełni dobrych chęci aktorzy nie czują się w tym widowisku zbyt pewnie, choć chwilami robią wrażenie autentycznie rozbawionych. W zasadzie tylko Maria Chwalibóg (Helcia) wychodzi obronną ręką z wszelkich reżyserskich zasadzek. W znacznym stopniu udaje się to także Jadwidze Lesiak, mimo że ani styl jej gry, ani warunki zewnętrzne nie predestynują jej do roli Mańki. Triumf jej jest tym większy, że toczyć musi walkę nie tylko z reżyserem, ale i scenografem (A. Wielogórski), który ubrał ją, szczególnie w akcie II, w kostium mało odpowiedni zarówno dla typu jej urody jak i charakteru sztuki.

W sumie przedstawienie szczecińskie nasuwa niewesołe refleksje: widownia tak bardzo jest spragniona lekkiego repertuaru, że skłonna jest przyjąć wszystko, co się jej oferuje. Fakt ten zdaje się być dla realizatorów satysfakcją wystarczającą. Może zresztą kształt szczecińskiego spektaklu wyniknął po prostu z faktu, że reżyser nie czuł uroku starego Krakowa, który przepelnia wodewil. Przed przeszło 30

laty pisał bowiem Boy: „Talizmanem stałego powodzenia, jakie towarzyszyło przez wiele lat *Królowej przedmieścia* jest może ta porcja serca, jaką autor włożył w swój utwór”. Wydaje się, że trafił w sedno. Właśnie owego serca brakło zupełnie w Szczecinie. Jego cień pozostał jedynie w ładnie i stylowo opracowanym programie do przedstawienia.

Marta Fik